

## Deszcz

Sara Teasdale. To, co lubicie, jeśli się nie mylę...

Będzie mżyć ciepły deszcz, będzie płacz siwych wierzb,  
Szczebiot zwinnych języków od świtu po zmierzch,  
I pod żabie rulady do snu kłaść się staw.  
I jabłonie kwitnące, z nogami wśród traw;  
Malinowa kruszynka przysiądzie na płot,  
I rudzika trel wytka, jak łza czysty splot  
I nikt, i nikt nigdy nie wspomni już o tym,  
Że zdarzyła się wojna i co było potem.  
Nie uroni łzy wierzba, nie rozplącze się ptak,  
Że rodzaju ludzkiego na Ziemi już brak.  
Wiosna też... Wiosna nowy powita znów świt,  
Nie zauważy, że z nas nie przeżył już nikt.  
(Sara Teasdale „Sonet 40”)

Przez milczące, martwe pustkowie, powoli szedł człowiek. Spod jego starych, saperskich, przedwojennych butów, których podeszwy były podbite cienkimi, metalowymi płytkami, szaroniebieskimi chmurkami unosił się kurz. Drobnny, pustynny, drobniejszy od najlepszej mąki, którą można kupić, jeśli się ma pieniądze, w New Hope albo na półwyspie, pokrywał obuwie, osiadał na nim równą, żółtą warstwą, jakby się mszcząc na człowieku za to, że go niepokoi. Ale podróżnik nie zwracał uwagi ani na kurz, ani na olśniewająco białą pulsującą kulę południowego słońca, wiszącą na bezdennym, jaskrawo-lazurowym niebie, na którym nie było ani jednej chmurki, tylko daleko na zachodzie, tam, gdzie znajdował się Ocean Spokojny, niebo zabarwiało się ciemnoliliowym kolorem. Na samej granicy horyzontu pojawił się wąski pas burzowych chmur – pewnie wkrótce zacznie się tam burza. Burza i deszcz. Tu, na pustkowiu, nie padało prawdopodobnie od dwudziestu lat. Burzowy front jeszcze ani razu nie dotarł do Bolesnego Pustkowie, chociaż do oceanu jest nie dalej niż osiemdziesiąt mil i oczekiwany przez ludzi deszcz mógłby się zlitować i odświeżyć spękaną ziemię. Ale nie. To nie może się zdarzyć. Błogosławiona ulewa znów przejdzie bokiem, bo Bóg już dawno odwrócił wzrok od tych miejsc i ludzkości, która potrafiła dokonać tego, czego nie potrafił wieczny rywal Boga - Diabeł. Ludzie prawie zniszczyli siebie i Ziemię, przekształcając kwitnący niegdyś świat, do którego u schyłku czasów przyszli wypędzeni z raju Adam i Ewa, w martwą pustynię śmierci i wiecznego okrucieństwa, gdzie każdy jest gotów przegryźć rywalowi gardło, by zdobyć przedmioty ze starych czasów, pieniądze albo dziwkę.

Witajcie w piekle! Nawet najbardziej obłąkany diabeł, który nie może usiedzieć w czyścicu, nie wlezie na obecną Ziemię, ponieważ piekło diabelskie, w porównaniu z piekłem, które zapanowało na Ziemi, wyda mu się rajem. Gdyby diabły istniały i wiedzione głupotą zawitały w okolice New Hope, to każdy szanujący się przedstawiciel rodzaju ludzkiego, w okamgnieniu zdarłby z niego skórę i rogi. Dla zasady. Na wszelki wypadek albo, by zbyć wątpliwe trofeum i kupić za uzyskane środki porcję dragów albo whisky, w zależności od potrzeb.

Człowiek patrzył tylko przed siebie, na ciemny horyzont, automatycznie przebierając nogami po wypalanej słońcem ziemi. Wysoki, chudy i przygarbiony staruszek, z niedorzecznie długimi rękoma i nogami, ze zmizerowaną, popielatoszarą i równocześnie jakąś przezroczyście-woskową twarzą. Wydawało się, że skóra, smagana wiatrami pustkowi, pęknie w każdej chwili na wypukłych kościach policzkowych. Nos musiał być złamany w kilku miejscach, siwa, nierówno przycinana broda niechlujnymi kłakami sterczała na wszystkie strony. Spod dziurawego, słomianego kapelusza wystawały siwe włosy, związane w ogon. Przez kłaczkowatą brodę wyzierała cienka linia poprzegryzanych, spękanych od południowego upału i niedostatku wilgoci warg. Pod wysokim, pomarszczonym czołem, gorączkowo błyszcząły, niczym mika, którą znajdują w górach na północy, bladobłękitne, z czerwonymi żyłkami popękanych naczyń, chore oczy. Brudny, przetarty na kolanach i łokciach szaroniebieski kombinezon i pusty plecak z urwaną jedną szelką, która dyndała za plecami staruszka, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że to włóczęga, jeden z licznych eksploratorów pustkowi. Tacy osobnicy podróżowali po całej Kalifornii. Miał jeszcze starą, jednolufową strzelbę myśliwską z dwudziestego stulecia. Nawet ubogi włóczęga nie ośmieliłby się podróżować po Bolesnych Pustkowiach bez broni, choćby była ona nawet najbardziej parszywa ze wszystkiego, co można znaleźć w tym świecie. Na prawej ręce, czule owijając nadgarstek, złotym blaskiem świeciła cienka bransoletka w kształcie wężyka, ze szmaragdowymi oczami, kęsającego własny ogon. To nie do wiary, jak zdołał zachować taką relikwię. Był to drogi i piękny wytwór starych czasów. Dziwne, że nie przepił i nie przegrał tej ozdoby.

Staruszek umierał. Nie, nie był ranny, ani pogryziony przez skorpiony, których było tu mnóstwo. Nadszedł jego czas. Pewnego dnia zrozumiał, że godzina, w której będzie musiał opuścić ten świat, nie jest gdzieś za górami, ale o krok. Zarzucił na ramię swój plecak, który najlepsze dni miał za sobą i ruszył w drogę... Szedł bez celu. Nie zastanawiaj się, dokąd idziesz, śmierć wszystko jedno, wcześniej czy później, spotka cię na skrzyżowaniu życiowych dróg. Staruszek, jak mamut, szedł umierać jak najdalej od ludzkich oczu - na pustkowie. O zbliżającej się śmierci świadczył szurający, chwiejny chód i chore, wyblakłe mętno-błękitne oczy, obojętnie patrzące na daleki horyzont. Ciężko oddychał, ze świstem wrywającym się z płuc, jakby pracowały miechy, którymi porusza zmęczony po całym roboczym dniu kowal. W okolicy nie było nikogo oprócz pustynnych szurów, wydających żalosne, piskliwe trele wśród żółtej trawy. Nikt nie mógł widzieć umierającego staruszka. Rzadko tu ktoś bywał.

Nogi człowieka w saperskich butach metodycznie wznosiły kurz z martwej, spalonej słonecznym żarem, miejscami popękanej od przerażających ran z przeszłości, ziemi, na której jeszcze gdzieś rosnęły chierlawe, na pół uschnięte drzewka i szara trawa, wczepiająca się martwym chwytem w glebę. Rośliny, próbowały w beznadziejnej walce wyssać z umęczonej ziemi chociaż trochę wilgoci. Po prawej stronie, obłędnie iskrząc się w słońcu metalowym blaskiem i oślepiając oczy, z zachodu na wschód, ciągnęły się szyny kolejowe - pozostałość przedwojennego świata. Pokrywał je miejscami kurz, a podkłady prawie całkowicie zasypał piasek. Niektóre z nich były rozeschnięte od nieskończonego upływu czasu. Był to jednak relikw minionego, nieosiągalnego, i dlatego dławiąco-gorzkiego, wspaniałego czasu, gdy padały deszcze i nikomu się nie śniło o martwej ziemi, zniszczonej wrzodami radiacji po ludzkim obłędzie bomby atomowej. Szyny, jak para błyszczących, żelaznych kości, które wyrwały się z ciała umierającej ziemi, w milczeniu, z kpiną obserwowały idącego człowieka.

W końcu siły opuściły staruszka, potknął się i upadł w kurz, boleśnie uderzając prawą ręką o twardą metalową powierzchnię torów kolejowych. Strzelba, jak bezmyślna pałka leżała w kurzu obok niego. Z trudem obrócił się na plecy i zaczął się wpatrywać w burzowy horyzont. Ciemnoniliowy, gdzieśgdzie granatowoczarny pas, rozrósł się, napęczniał jak przepętlony bukłak z wodą i wydaje się, niewiele przybliżył.

Obserwował nasuwające się chmury. Burza. Burza i deszcz. Jakże przykro, że deszcz nie dociera do tej suchej ziemi, chmury, jak zaczarowane, zatrzymują się na granicy pustkowi i wylewają drogocenną wilgoć w słoną gładź potężnego oceanu.

Deszcz. Pierś staruszka ścisnęła niepojęta tęsknota. Ból, który zdawało się na zawsze skrył głęboko pod sercem i tylko czasami przenikał na zewnątrz z głębi jego Ja, męcząc go tylko ciemnymi, rozgwieźdzonymi nocami, kiedy nie starczało pieniędzy by się napić, znów wrócił, rozkwitł mętnoszarym kwiatem i, osiągnąwszy swoje apogeum, rozbudził to, czego tak bardzo się bał w te milczące, samotne noce. Poprzez suche wiatry czasu, wiatry wiejące nad martwymi pustkowiami, gdzieśgdzie jeszcze świecącymi złudnym światłem napromieniowanych ruin martwych miast, budziła się niemiłosierna pamięć...

Deszcz. Tak dawno nie widział tego cudu ...

Małe osiedle na wschód od Złamanego Urwiska. On, dziesięcioletni chłopak, razem z watahą takich samych niedożywionych, brudnych dzieci, bawiący się w „Myśliwych i Szczury” na starym lotnisku między zardzewiałymi szkieletami wojskowych samolotów, które nie zdały się poderwać do nieba, kiedy zaczęła się ostatnia wojna. Ciężkim, jądrowym młotem wbiła ludzkość w wykopany dół obłędu. Właśnie wtedy, dziesięcioletni chłopczyk po raz pierwszy zobaczył deszcz. Szybciej...

...Dale! - krzyk Kelly zmusił go do wyskoczenia ze starego dołu z osypującymi się brzegami i, tupiąc bosymi nogami po rozżarzonej ziemi, ruszył za biegnącą z przodu dziewczyną. Kelly pędziła całą szybkością swoich opalonych, podrapanych nóg, jej brudny chałat, zastępujący codzienną odzież, rozwiewał się na gorącym wietrze. Kątem oka widział, jak po obu stronach migają ogromne, zardzewiałe szkielety martwych bombowców, groźnie wiszących nad biegnącymi po zakurzonej ścieżce dziećmi. Przed nim, cały czas migały plecy Kelly. Dziewczyna była zwinna i musiał włożyć mnóstwo wysiłku, by nie pozostać w tyle. Ścieżka ostro skręciła w lewo, kierując dzieci do dalekich, rozsypujących się hangarów lotniska. Kelly zignorowała linię ścieżki i wdarła się w wysoką, ciemnożółtą, wyschniętą trawę, rozganiając wesoło ćwierkające koniki polne, które przestraszone rozbiegły się na wszystkie strony. Bolały płuca, błękitne oczy zalewał żący pot, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi, wciąż biegł za prowadzącą go do kryjówki dziewczynką. Tak się złożyło, że dzisiaj byli Szczurami, a Jamesowi z jego kompanią nierobów, poszczęściło stać się Myśliwymi i teraz, ta wataha, urządziła na nich prawdziwe polowanie na cmentarzysku martwych samolotów.

Dziewczynka zatrzymała się gwałtownie i upadła na ziemię, podgarniając pod siebie suchą trawę. Dale kłapnął obok i nawet nie sprawdził, czy nie ma skorpiona, przypadkowo wpelzającego w gorzki piołun.

- Cz-sz-sz-sz - zasyczała Kelly, przykładając brudny palec do warg. Jej piwne oczy błysnęły znacząco. – Są w pobliżu.

Dale wsłuchał się w terkot niemiłkących ani na chwilę koników polnych. Po Wojnie, w wyniku mutacji, dawno przestały przypominać te, przedwojenne owady, które oglądali przodkowie Kelly i Dala. Ale, czy zwykły konik polny może wyżyć w suchej trawie, bez

kropki wilgoci? Tak, rano, na żelaznych bokach martwych samolotów pojawiały się skąpe kropelki rosy! Dlatego źródłem wody były studnie, dookoła których rozwijały się osiedla na Bolesnych Pustkowiach.

Przez wesole trele koników polnych przebijały się głosy prześladowców. Instynktownie wtulił się w ziemię. Niechciał się spotkać z Jamesem i jego kompanami, zwłaszcza po tym, jak razem z Kelly, jako jedyni ze Szczurów, umknęli z pułapki zastawionej przez nich. James prawdopodobnie wściekł się i lepiej nie włączyć pod pięści dwunastoletniego chuligana.

- Szukajcie ich, chłopaki. Gdzieś tu są – wydawało się, że głos Jamesa rozległ nad głowami ukrywających się dzieci. Z przestachu, Kelly omal nie podskoczyła.

- Słuchaj, James. Wracajmy. Jeśli dorośli nas tu zauważą, to dostaniemy niezłe wciry - zaskamlał Matthew.

Głos Mata dobiegał zza korpusu starego „B-59”, znajdującego się po prawej stronie.

- Zamknij się Mat! - ryknął James. - I rób, co każe!

Słychać było niezadowolone pomruki Mata, ale nie zdecydował się na otwarte przeciwstawienie się przywódcy. Z przodu dał się słyszeć obrzydliwy chichot grubego Smarka. Ten, jak zawsze, cieszył się, że Mata sprowadzono do poziomu.

- Smarkaty z nimi! Tego tylko brakowało – wyszeptła Kelly, prawie nie otwierając ust.

Smarkaty miał z dziewczyną na pieńku. Pewnego razu, wsunęła grubasowi za kołnierz zdechłego szczura, który śmierdział na milę i Smark piszczał z przerażenia i obrzydzenia, próbując go wyciągnąć spod brudnego podkoszulka. Teraz, pragnął krwi i niech tylko Kelly wpadnie w jego spocone, wiecznie brudne ręce, będzie miała pozamiatane.

- Sz-sz-sz - teraz z kolei zasyczał Dale. – Chyba wpadliśmy. Za chwilę, na nas nadepną.

Kelly rozejrzała się rozpaczliwie, mając nadzieję na znalezienie lepszej kryjówki, bo czasu było coraz mniej.

- Biegnijmy do tego hangaru.

- Zduńniałaś? - szepnął Dale, z oczami jak spodki. – Przecież to zakazana strefa!

Daleko, na skraju lotniska, znajdował się betonowy ni to hangar, ni bunkier. Trawa tam osiągała naprawdę gigantyczne rozmiary, zresztą, jak i owady. W hangarze panowała śmierć. Przynajmniej, tak mówili we wsi, chociaż nikt tam nie zaglądał od pół wieku. Komu się chce umierać? Jednym słowem, Zakazane Terytorium. Około pięćdziesiąt lat temu, do hangaru zajrzała czwórka z osiedla. Wcześniej nikt się nim nie interesował. Oprócz bawiących się tu dzieci, mało kto z dorosłych zaglądał na lotnisko, a i one nigdy nie zapuszczały się do serca cmentarzyska techniki. Zawsze istniała szansa spotkania gigantycznego skorpiona albo czegoś gorszego. Ci, którzy wleźli do hangaru, długo nie przeżyli. Mówiono w osiedlu, że zabiła ich radiacja.

- Nie - Dale rozpaczliwie kręcił głową i Kelly wydało się, że lada moment odkręci się od szyi i wesoło potoczy się w wyschniętą trawę.

- Dureń! - zasyczała, gniewnie błyskając oczyma.

- Sama głupia! - nie pozostał dłużny. Tylko, że odpowiedź zabrzmiała o wiele głośniejsze, niż tego się spodziewał. Wydawało się, że słowa ogłuszającymi zjawami przeleciały po cmentarzu martwych samolotów, odbijając się echem w przerdzewiałych, dziurawych korpusach poległych, żelaznych ptaków.

- Tu są! - krzyknął Mat, wyskakując zza starej, zbutwiełej beczki i wskazując na ukrywające się dzieci palcem. - Znalazłem Ich!

Ale Szczury już nie słuchały. Niczym przestraszone zwierzątka, wyskoczyły z trawy i skierowały się w otwierającą się wyrwę prześladowców. Wydawało się, że jeszcze chwila i wyrwą się z okrażenia, ale na ich drodze wyrosła tusza Smarka i dzieci musiały przytulić się do starego „Fantomu”, by James i Mat, którzy podbiegli z tyłu, nie mogli zdzielić ich po plecach. Trójka Myśliwych, z bezczelnymi uśmiechami na brudnych fizjonomiach, zbliżała się powoli. Dale wcisnął się w burtę samolotu, ale natychmiast, z sykiem odskoczył, słońce nagrzało metal do temperatury rozżarzonej patelni, ramię przeszył ból.

- No co Szczurki, wpadliście? - powiedział James, rozciągając słowa. – Myśleliście, że nas tak łatwo wykiwać? Przegraliście.

- Trudno - Dale z udawaną obojętnością wzruszył ramionami. - Tym razem przegraliśmy, ale następnym razem bardziej nam się poszczęści. Idziemy Kelly.

- Nie tak szybko - uśmiechnął się Smarkaty. – Ty możesz iść, ale twoja przyjaciółka zostanie na rozmowę, mam jej coś do oddania.

Dale w milczeniu cofnął się do samolotu, ale zostawić Kelly samą to tak, jakby wykazać się własnym tchórzostwem.

- A-a-a - zarżał Mat, wyglądając zza pleców Jamesa i marszcząc pryszczaty nos w radosnym podnieceniu. - Dale postanowił zabawić się w szlachetnych rycerzy!

- No co, łysa, porozmawiamy? - zapytał Smark, podchodząc do uciekinierów i wyciągając do Kelly grubą rękę.

- Nie jestem łysa - odgryzła się Kelly. Rzeczywiście, nie była łysa, przynajmniej teraz. Jej włosy, koloru wypłowiałej od słońca trawy, już trochę odrosły i teraz głowa podobna była do języka-mutanta.

- Oczywiście, nie jesteś - uśmiech podchodzącego do dziewczynki grubasa był jakiś sprośny. - Ale wkrótce będziesz.

Dale rzucił się Kelly na pomoc, ale i ona sama nie straciła rezonu i zręcznie kopnęła Smarka między nogi.

- Oj! - cieniutko pisnął, chwytając się rękami za miejsce, którego w żadnym wypadku nie powinno się narażać na bicie. Jego twarz zrobiła się bordowa, oczy zatoczyły się i nie odrywając nadal rąk, padł na kolana, a potem rozciągnął się na zakurzonej ziemi cichutko wyjąc cieniutkim, piskliwym głosem.

Zdziwiony James stanął jak wryty i Dale postanowił skorzystać z chwilowego zamętu, rzucił się z pięściami na speszonego przeciwnika. Jak na złość, na drodze zamarł przestraszony Mat. Jego twarz przemknęła białą plamą przed oczyma Dala. Spróbował usunąć go z drogi przy pomocy pięści i Mat wrzasnął bardziej ze strachu, niż z bólu: pięść Dala tylko prześliznęła się po uchu chłopca.

Przed twarzą Dala mignęła pięść Jamesa, a potem, w nosie, tysiącem igieł wybuchł ból. W oczach pociemniało. Chwytał się rękami za złamany nos, między palcami, ciepłym strumykiem pociekła krew. Ciężkie krople, chwilę wisały na podbródku, a potem spadały na odzież, rozpluwając się brudnymi, ciemnymi plamami. W oczach zakręciły się łzy, stracił ostrość widzenia, tylko jakieś niewyraźne cienie przebijały się do jego zgnębionych bólem receptorów.

- No co?! Dostałeś?! Dostałeś szczyłu? - głos Jamesa rozlegał się tuż nad nim. - Z kim zacząłeś Szczurku?! Na kogo podniosłeś pięści?!

Ktoś boleśnie zdeptał Dala nogą po krzyżu. Gdzieś na samej granicy ogłuszonego bólem mózgu, nieustannie krzyczał Smark. Od początku bójki minęło zaledwie kilka sekund. Czyjaś bezlitosna ręka chwyciła Dala za włosy i pociągnęła do góry. Otworzył oczy, świat znów odzyskał kolory. Widział wykrzywioną twarz Jamesa ciągnącego go za włosy, siedzącego i trzymającego się za ucho Mata, widział jak jęczy tarzający się po ziemi Smark, jak do niego biegnie Kelly, coś krzycząc i wymachując pałką, zaciśniętą w dłoni...

Z bezchmurnego nieba, na czoło Dala, upadła ciężka kropla wody, następna trafiła na oblaty ze skóry, spalony przez słońce nos Jamesa i wybuchła tysiącem drobnych, świecących kryształków. Po pierwszych kroplach spadły kolejne. James ze zdziwienia rozluźnił chwyt i ból we włosach Dala rozplynął się. Krople spadały setkami z bezgranicznie błękitnego nieba, na którym nie było ani jednej chmurki, bębniły po twarzach ożywczą wilgocią, odżywiały wyschniętą ziemię, darowały życie i zachwyty.

- Dale, co to? – wykrztusił zdumiony James, zapominając natychmiast o bójce.

Ciężkie deszczowe krople stukały mu po ramionach, po głowie i zmoczywszy włosy, spływały po twarzy.

- Deszcz, to się chyba nazywa, deszcz - powiedziała Kelly, podchodząc do chłopców.

Odrzuciła pałkę i ze zdziwieniem spoglądała na padający z niebios cud. Po raz pierwszy, w swoim dziesięcioletnim, krótkim życiu, widziała deszcz.

- To po prostu czary! - krzyknął Dale i zaśmiał się, nie zwracając uwagi na płynącą z nosa krew i wystawił opaloną twarz na deszczowe krople.

Wszyscy roześmieli się. Nawet Smark odwrócił się na plecy i, łowiąc otwartymi ustami deszczowe krople śmiał się wesoło. Deszcz. Zwykła woda z nieba, mały cud na wiecznie suchych pustkowiach, gdzie osiedla pojawiały się obok studni, zmyła wrogość, zakończyła wojnę dzieci i rozbiła wszystko na tysiąc drobnych odłamków, których już nigdy nie będzie można zebrać w całość. Pięcioro umorusanych dzieci cieszyło się z małego cudu pośrodku martwego świata promieniotwórczego kurzu. Deszcz pogodził ich na zawsze. Prawdopodobnie, był to najwspanialszy dzień...

\*\*\*

...który chylił się ku zachodowi. Nasunęły się ciemne chmury i zastłoniły sobą gorące ciało niebieskie. Zerwał się wściekły i świeży morski wiatr, rzucał kłębami piasku po oczach staruszka i ten musiał przykryć je ręką. Targał siwe włosy i wył w uszach. Chmury, jak stado oszalałych owiec nasuwały się na człowieka ponurą ścianą. Niekończące się, brylantowe girlandy błyskawic, zlewające się w jeden błysk, iskrzyły się po całym horyzoncie, oświetlając ciemniejące, a od tego jeszcze mroczniejsze pustkowia. Wiatr, jak pozbawiony rozumu pasterz, gnał ciężarne deszczem chmury na martwe pustkowia i miasta, tak dawno nie czujące na swoim ciele deszczowych kropli. Deszcz jeszcze nie zaczął padać, ale szybko, w ślad za dudnieniem grzmotu i migotaniem błyskawic, napięte strumienie wody skierują się do zamierającej w niecierpliwym oczekiwaniu ziemi. Błysnęło i z wiatrem dobiegło do staruszka dalekie, jeszcze ciche brzęczenie, podobne do surowego morskiego przyboju szumiącego w oddali, próbującego zniszczyć swoim niekończącym się uporem przybrzeżne skały w wiecznej i bezsensownej walce tysięcy, która będzie trwała nawet wtedy, gdy zniknie ostatni człowiek. Ziemia nie zauważy jego zniknięcia, a jeśli - to, prawdopodobnie,

westchnie z ulgą, niczym staruszek, który wreszcie uwolnił się od strasznej i nieuleczalnej choroby.

Wiatr się uspakajał, nie próbował zaśmiecić oczu leżącemu i patrzącemu na zbliżające się wały chmur, konającemu. Był właśnie taki, jak wtedy, gdy cały świat jaśniał nadzieją, kiedy życie na wsi, wreszcie, ułożyło się, zniknął głód, pojawiły się pieniądze i, wydawało się, że nic i nikt na tym świecie nie zdoła zabrać jego szczęścia. Stuknęła mu trzydziestka i żona, z nienarodzonym jeszcze dzieckiem, czekała na jego powrót. Wiatr wdarł się do głowy, podniósł z dna pamięci to straszne, co ukrywał przed wszystkimi, nawet przed sobą. Wiatr...

\*\*\*

...hulał w kanionie między niskimi, czerwonymi skałami, które milczącymi, zwietrzałymi karłami patrzyły w czarne, ołowiane niebo. Martwe terytorium pustkowiec, rozścielające się na setki mil kwadratowych i przechodzące w promieniotwórczą pustynię, gdzie nie mogła wyżyć ani jedna istota, gdzie ziemia nocami jarzyła się złudnym, neonowym światłem, a w martwych, napromieniowanych ruinach miast błąkały się zjawy ludzi, którzy zginęli w hekatombie katastrofy. Po takich pustkowiach poruszała się teraz para powoli idących i muczących wołów, ciągnąca ciężko naładowany furgon. Stary wóz wspólnoty wioskowej, ze sparciętym brezentem na dachu i spękany deskami burt, smutnie skrzypiał rozsychającymi się kołami, podskakując na pojedynczych brukowcach poniewierających się tu i tam na ledwie rozróżnialnej drodze gruntowej. Na koźle, często oglądając się na nisko wiszące chmury, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden szczupły, z odkrytą głową i rozczochranymi, czarnymi włosami. Poganiacz trzymał na przedramieniu starą wojskową strzelbę, kaliber 12. Błękitne oczy obojętnie patrzyły na ścielącą się czerwono-białą drogę, pokrytą drobnymi kamieniami i piaskiem.

Drugi, potężny grubas, z obwisłymi policzkami i małymi, piwnymi oczkami, trzymał w ręku wodze. Obaj ubrani w solidną, mocną, niczym nie wyróżniającą się odzież, jaką noszą prowadzący karawany. Jedyna, godna uwagi rzecz, to obuwie szczupłego. Był obuty w nowiutkie, saperskie buty, znalezione w jednym z osiedli, porzuconych po napadzie Myśliwych.

- Wydaje się, że będzie deszcz, prawda Smarku? - zapytał szczupły.

- Aha. Ile to już lat minęło Dale, kiedy po raz pierwszy widzieliśmy deszcz? Piętnaście?

- Dwadzieścia - cicho odpowiedział Dale. – Wtedy akurat skończyłem dziesięć lat.

- Pamiętam-pamiętam, wtedy mi twoja kochana żoneczka nieźle przyłożyła kolankiem – powiedział to bez urazy i cmoknął wargami, popędzając woły.

- Zna-ko-mi-tą masz pamięć - przeciągnął Dale i skrzywił się w uśmiechu. On też pamiętał ten dzień, kiedy Kelly przyłożyła Smarkowi w najczulsze miejsce. - Ale zgodzisz się, że zasłużenie?

- Aha! – przytaknął Smark. – Byliśmy wtedy durniami... Chociaż i teraz jest nie lepiej. Słyszałeś, co Mat zrobił?

- Nie. Byłem wtedy z karawaną w drodze do Miasta - przeciągnął Dale, wciąż nie odrywając oczu od drogi.

Ostatnio, na karawany często napadano. Pusta furmanka może nikogo nie zainteresuje, ale lepiej mieć się na baczności, jeśli się nie chce znaleźć wiecznego spoczynku w przydrożnym rowie.

- Na swoim weselu, nasz przyjaciel Mat, który przecenia własne możliwości w picciu, zechciał się odlać i za najbardziej przydatny do tego, uznał trzewik Jamesa. Dużo byś dał, by zobaczyć twarz Jamesa, kiedy wsunął nogę do kamasza!

Dale odchylił się na oparcie i wesoło się roześmiał. Po takim czymś, za żadne pieniądze, nie chciałby się znaleźć na miejscu Mata.

- I co? I co? - dusząc się ze śmiechu, wypytywał Smarka.

- A to, że dwa dni przesiedział na strychu, chowając się przed Jamesem i w końcu, oberwał od swojej kochanej żonulki za zaniedbanie obowiązków w małżeńskim łożu! - Smark sam śmiał się jak opętany, wspominając rozwścieczoną żonę Mata.

Kolejny poryw wiatru szarpnął czupryną Dale, aż ten pochylił się zaskoczony.

- O! Wietrzyk nabiera mocy. Żeby tylko nie trafić w środek burzy - obejrzał się na doganiające ich niskie chmury.

- Staruszkowie opowiadali, że dawno temu, jeszcze przed wojną, w tych stronach o burzach nikt nie słyszał i ziemia była zawsze zielona, a deszcze padały przez cały rok.

- Bzdury – zaoponował Dale, niespokojnie kręcąc głową. - Starcze bajania. Kto to widział?

- Przecież myśmy też to widzieli! – sprzeciwił się Smark. - Tego deszczu nikt z nas nie zapomni.

- Deszcz - Dale skrzywił się, jakby połknął obrzydliwego robaka. - Już zaczynam wątpić, czy widzieliśmy ten deszcz, czy tylko nam się przywidziało. Nie wiem, jak przeżywają trawa i zwierzęta w pustkowiach... Czy też kopią studnie?

- A diabli wiedzą - Smark odpiął od pasa bukłak z wodą i dużym łykiem odświeżył wyschnięte gardło. - Trzeba się ruszać z miejsca i całą wioską przenieść się na północ. Mówią, że tamte okolice mniej ucierpiały w wyniku wojny.

- Przeprowadzać się?! Całą wsią?! - Dale prychnął pogardliwie, dając do zrozumienia, co myśli o tym najgłupszym, w jego opinii, pomysle. - Powiedz to naszej starszyźnie. Oni tylko śpią i kombinują, jak by tylko przeżyć! Myślisz, że poruszysz to bagno?

- Strefa - gwałtownie wypuścił powietrze Smark.

Poganiacze połknęli po różowej kapsułce antyradiacyjnego preparatu i naciągnęli własnej roboty respiratory. Zza pleców, Smark wyciągnął długi i giętki bat, trzasnął nim w powietrze, a potem po grzbietach wołów. - Szybciej! Krowie syny!

Woły zameczały i przyspieszyły. Nadal ta sama ponura, czerwona ziemia, nadal te same milczące skały, nadal ten sam wiatr, wściekłymi porywami gnający niskie chmury. Tylko trawa jest tu znacznie wyższa niż gdziekolwiek i daleko na wschodzie, kiedy świeci słońce (teraz, rzecz jasna, go nie widać), ziemia skrzy się oślepiającymi blikami, ponieważ piasek tam zeszklił się w jedno ogromne i niezniszczalne lustro, świecące nocami i odbijające gwiazdy. Na szczęście, niebezpieczna strefa ciągnęła się zaledwie na przestrzeni kilkuset metrów. Taki symboliczny język, który śmierć położyła na drodze, próbując zdobyć nierozważnego podróżnika, który nawet nie przeczuwa kryjącego się niebezpieczeństwa. Martwa ziemia pozostała za nimi i licznik Geigera, poniewierający się gdzieś w furgonie, przestał trzaskać jak ogłupiały.

- Fuj... - Smark pokrył się potem. - Zawsze, kiedy tu przejeżdżam, ogarnia mnie przerażenie.



- Nie ciebie jednego - apatycznie przyznał Dale, odpinając respirator i rzucając go za siebie. – Teraz, możemy śmiało przez pół roku nigdzie nie jeździć. Swoją normę promieniowania otrzymaliśmy dzisiaj.

- A ja nadal twierdzę, że trzeba uciekać z tych okolic i jeśli przeklętych, starych dziadów, nie przeraża brak wody, czy normalnej zdrowej gleby, to może ludzie z miasta zmuszą ich do ruszenia tyłków.

- Jacy ludzie, z jakiego miasta? – zdziwił się Dale i popatrzył na obserwującego drogę Smarka.

- Trzeba więcej przesiadywać w domu, a nie włączyć się z karawanami, kiedy się nie musi. Co byś robił teraz, gdybym nie przyjechał po ciebie? - Smark zadał retoryczne pytanie i Dale nawet nie próbował na nie odpowiedzieć.

- Przyjeżdżali tu – zaczął niechętnie opowiadać Smark. – Prowadziłeś wtedy karawanę do Miasta, a ja akurat wyjeżdżałem z wioski. Przyszło około dwudziestu wyżartych zbójów. Wszyscy z bronią i to jaką. Nie to, co nasze śrutówki. Automaty i diabli wiedzą co jeszcze. Od razu widać, że miejscy. Ubrani, jak do ślubu, psia ich mać.

Smark mruknął pod nosem, co myśli o wystrojonych chłystkach i dokąd, radzi im, by poszli w wolnym czasie.

- I co dalej?

- Dalej? Dalej powiedzieli, że przybyli z jednego miasta na północy. Niby przyjaznego! Do najbliższego miasta z czterysta mil na północny zachód! I że od tego miesiąca, wieś powinna płacić...

- Za co?

- Za ochronę - Smark powiedział to, jakby splunął. - Jaką do cholery ochronę?! Przed kim?! Przecież tu nikogo nie było, nie ma i nie będzie! Starszyzna odmówiła.

- A oni? - pierś Dala przygniotła nieokreślona twoga.

- Roześmiali się i powiedzieli, byśmy nad tym pomyśleli i poszli.

- Dawno to było?

- Ze dwa miesiące temu, tak mi się wydaje. Akurat zbierałem się jechać po ciebie.

- W porządku. Pluję na nich. Jak przyjadę, zabieram Kelly i spływam z tej dziury – Wychylił się z kozła i splunął na czerwoną, zakurzoną ziemię. Poryw wiatru zdmuchnął ślinę i ta trafiła wprost pod koła furgonu.

- Może masz rację - westchnął Smark. – Tylko, że na nas tam nie czekają z utęsknieniem...

- Na nas nigdzie nie czekają. Tylko, że siedzieć tu, na martwej ziemi, nie uśmiecha się mi. Dość tego! Trzydzieści lat przesiedziałem w tej dziurze.

Niebo na krótką chwilę zapłonęło i zygzakowata, jaskrawa nitka błyskawicy, uderzyła w sąsiednią skałę. A potem, jakby ścigając swoją kumpelkę, za plecami ludzi załomotał grom.

- Oho! - Smark aż podskoczył. - Widziałeś?! Ba-Bach!

- Zaraz się zacznie taki koncert... Byleby tylko uciec przed nim...

- Uciekniemy - Smark szarpnął wodze, poganiając powoli wlokące się zwierzęta. - Z prawej strony już widać lotnisko, do wsi niedaleko.

Rzeczywiście, pole żółtej trawy wbijało się w to samo lotnisko, które stało się cmentarzyskiem dla wojskowego lotnictwa. Po dwudziestu latach, kadłuby niegdyś dumnych samolotów zmieniły się w zwyczajne sterty metalu, tylko w niektórych można było rozpoznać wyraźne profile bojowych maszyn. Skały z lewej strony zanurkowały gdzieś za plecy i przed nimi rozciągnęło się równinne pustkowie, ciągnące się przez cały

stan, aż do Oceanu Spokojnego. Zawsze gorące, zawsze martwe. Tylko teraz wyglądało na jeszcze bardziej martwe i złowieszcze, z powodu zbliżającej się burzy. Suchy, pustynny wiatr, wył w przerdzewiałych stosach żelaza, naśladując pisk szalonego fletu. Wiatr gnał gotową lada chwila rozpętać się burzę na wieś i Smark już bez przerwy trząsał batem.

- Patrz! - Dale gwałtownie wyciągnął rękę w stronę niskiego pagórka, za którym znajdowała się wieś. - Dym.

- Rzeczywiście... - Smark przymrużył oczy. - Czyżby ktoś po pijaku podpalił dom?

Dale nie odpowiedział, a tylko krzyknął ponaglając woły. Nad pagórkiem unosił się gęsty, czarny dym. Może to mieszkańcy wsi palą jakieś śmieci albo zdarzył się pożar i pali się jeden z wielu drewniano-plastykowych domów, na budowę którego mieszkańcy zbierali materiały po całej okolicy?

- To nic, wszystko będzie w porządku - uspokajał siebie Dale, chociaż złe przeczucie wpęzło gdzieś pod koszulę. - Zaraz spadnie deszczyk i ugasi ogień.

- Na pewno! - Smark zachichotał, ale jakoś cicho i histerycznie, niepokój Dale udzielił się także jemu. Pagórek był już przed nimi i od wsi dzielił ich tylko jeden zakręt. - Myślę, że deszcz ułagodzi wszystkie przykrości pożaru. Dzieciątka też się ucieszą.

- Też tak myślę. Bardzo chcę tak myśleć - wyszeptał Dale, mocno ściskając zbiegającymi palcami strzelbę...

Wioszcza powitała ich ciszą. Ani krzyków ludzi, próbujących zgasić sześć płonących domków, ani szczekania psów. Jeden tylko włóczęga-wiatr wył na wyludnionej ulicy. Domy już się dopalały, ale nikt nie poczynił prób, by zgasić ogień. Paliły się w różnych końcach wsi, jakby ktoś szalony biegał z pochodnią, wtykając ją w drewniane ściany.

- Gdzie są wszyscy? Co się stało? – zdziwiony Smark ściągnął wodze i woły posłusznie stanęły, obojętnie przeżuając gumę składającą się z traw pustkowie i obserwując aksamitnymi oczyma drgające języki płomieni na dopalających się szkieletach domów.

- Co się stało, nie wiem, ale na pewno coś poważnego - Dale zasępił się i odbezpieczył strzelbę. - Idziemy. Miej się na baczności.

Smark skinął głową i wyciągnął zza pasa pistolet.

- Dobrze Dale. Poszukajmy naszych.

Skradając się, ruszyli wzdłuż ulicy, wsłuchując się w dźwięki wiatru rozdmuchującego płomień pożaru...

Znaleźli ich w centrum wioski, na placu, gdzie znajdował się stary, chylący się ku ruinie, jeszcze przedwojenny kościół, wtulający się ostrym szczytem w ponure, przedburzowe niebo. Osiemdziesiąt dusz. Osiemdziesięciu ludzi, których znali od dzieciństwa. Osiemdziesięciu członków małej wspólnoty, zagubionych pośród martwych pustkowie Kalifornii.

Martwe ciała leżały rozrzucone po całym placu, w najróżniejszych pozach. Na woskowych twarzach zastygł strach, gniew, ból, przerażenie. Cały kalejdoskop uczuć, oprócz radości. Wśród nieboszczyków trafiały się ciała nieznajomych. Wieś próbowała się bronić i paru wrogów straciło tu życie. Wyżarci zbóje, w dobrej odzieży. Ale ich było nad wyraz mało, w porównaniu z ciałami mieszkańców wioski. Ciała, ciała, ciała. Mężczyźni, kobiety, staruszki, dzieci. Dale przymknął oczy. To pobożowisko będzie

mu się śnić przez resztę życia. Smark chwycił się za brzuch, wnętrzości wywróciło mu na lewą stronę.

- Kelly? - krzyknął Dale, szukając, i bojąc się znaleźć wśród ciał znajomą figurkę z jasnymi, słomianymi włosami.

- Dale, nie krzycz - Smark wycierał grzbietem dłoni swoje usta i powiedział to, w co sam już nie wierzył. - Może ona się uratowała.

- Kelly?! Gdzie jesteś?! – niepewnym krokiem chodził między trupami, strzelba wlokła się po piasku. - Kelly! Wróciłem, Kelly!

Ale oprócz wiatru, nikt mu nie odpowiadał. Oto stary Johnson, miejscowy piekarz, wpatrywał się szklistymi oczyma w niebo przykryte morzem chmur. Tu James, któremu kule rozerwały pierś. Obok, cała jego rodzina. Twarze przyjaciół, znane od dziecka. Martwe twarze tych, z którymi przeżył trzydzieści lat.

Leżała obok wejścia do kościoła. Mała, czerwona plamka zaschniętej krwi pod lewym obojczykiem. Jej zawsze błyszczące w palącym słońcu i takie wypłowiełe teraz słomiane włosy, targał wiatr.

- Nie - wyszeptał powoli, jak we śnie, opuszczając się przed nią na kolana. - Nie.

Milczący Smark stał za jego plecami. Dale kręcił głową, bojąc się uwierzyć w to, co było przed jego oczyma. Był na granicy obłądu. Siedział tak kilka minut i w końcu, nie wytrzymał. Wściekłość i ból wyrwały się z niego ogłuszającym krzykiem, potokiem nienawiści, który gotów był zmieść każdego, stojącego na jego drodze.

- Nie! - zawył. - Dlaczego ja?! Dlaczego oni?! Dlaczego?!

Wył, krzyczał, bluźnił, wygrażając pięścią ponuremu niebu. A niebo odpowiadało obojętnym i oddalonym grzmotem. Otaczający świat zadrżał, zachwiało się, jakby przed oczyma ktoś przeprowadził złudną ręką. Po policzkach pociekły łzy. Płakał w milczeniu, pragnąc zemsty. Zaciśnął zęby, żeby nie krzyczeć i nie zwariować. Niebo jeszcze raz gniewnie zawarczało na bluźniercę, a potem, litując się, także rozplakało. Pierwsze krople spadły na zabarwiony zaschniętą krwią piasek. A potem, niepoahamowane wodospady, z niskich chmur, zwały się na martwą wioseczkę. Deszcz momentalnie ugasił rozszalałe pożary, które gwałtownie sycząc, próbowały sprzeciwić wodnemu żywiołowi napierającemu z nieba. Ogień zgasł, zostawiając po sobie tylko czarne, zwęglone deski. Dale klęczał nadal, podstawiając twarz pod sprężyste deszczowe strumienie i milczał. Smark, także bez słowa, stał za plecami przyjaciela. Nie miał krewnych w wiosce, ale tak jak Dale, nie mógł uwierzyć, że wszystko, z czym się zżył w ciągu trzydziestu kilku lat, przestało istnieć.

Trwali w ulewnym deszczu, przemoczeni do suchej nitki, ale nie odezwali się do siebie słowem ...

Deszcz ucichł. Wiatr-lekkoduch popędził chmury daleko na północ, gdzie ich miejsce i nad mokrą ziemią, znów wyrzało słońce.

Kropelki wody bezszelestnie spływały z długich włosów Dala, spadając na policzki, na złamaną nasadę nosa, po czym drobnymi kropelkami odrywały się od podbródka i spadały w dół. Tylko, że więcej łez już nie będzie. Płakał po raz ostatni w życiu. W jego piersi rozpalął się czule chroniony ogień nienawiści, gotowy buchnąć wszystko pożerającym płomieniem, gdy tylko odnajdzie się sprawca strasznej rzezi.

Złożyli ciała mieszkańców w starym kościele. Zajęło im to ponad trzy godziny. Trupy morderców zostały na wyschniętej ziemi – nie zamierzali ich grzebać. Kojoty też muszą się posilać.

Słońce wysuszyło drewniany kościół i wydawało się, że deszczu wcale nie było. Kiedy Smark, nadal milcząc, wrzucił płonąca pochodnię do ostatniego grobowca mieszkańców wioski, budynek zapalił się wesołym płomieniem.

Dale milcząc patrzył na tańczący ogień, pożerający jego dawne życie i miłość.

Równocześnie odwrócili się od płonącego kościoła i poszli do czekających na peryferiach wioski wołów.

- Nie miała bransolety - cicho powiedział Dale, zwracając się bardziej do siebie, niż do Smarka.

- Jakiej bransolety? - pytająco spojrzał na przyjaciela.

- Złotej. Podobnej do żmijki. Podarowałem jej w dniu ślubu. Kupiłem w Mieście, dawno, jeszcze przy pierwszym prowadzeniu karawany.

- A-a - Smark słabo pamiętał tę wytworną i bardzo drogą błahostkę.

- Zdjął z niej. Odważył się zdjąć bransoletę z Kelly, po czym ją zabił! Znajdę go. Przysięgam na wszystkich bogów, znajdę!

- Ale jak? Przecież to niemoż... - Smark zaciął się.

- Po tej bransolecie trafimy do niego. Nie spocznię, póki nie obejdę wszystkich miast i nie znajdę tego nikczemnika! I wtedy zapłaci mi za to. Straszliwie zapłaci za śmierć wszystkich.

Smark milczał.

- Będiesz ze mną John? - zapytał, po raz pierwszy nazywając Smarka prawdziwym imieniem.

Ten spojrzał wzrokiem zaszczutego człowieka i skinął głową.

Dale odetchnął z ulgą i przygaś. Mały furgon, zaprzężony w woły, poruszał się po bezkresnym i wielkim pustkowiu, niosąc ludzi w stronę zemsty, a za ich plecami podnosił się gęsty dym. Tam, dopalał się kościół. Wszystkie mosty zostały spalone, pozostawał tylko horyzont z odpływającymi coraz dalej deszczowymi chmurami i ślepa nienawiść zastępująca życie. Życie...

\*\*\*

...zamarło. Nie było słyhać ani piszczących na pustkowiach szczurów, ani ćwierkających owadów. Wszystkie żywe istoty ucichły w oczekiwaniu na deszcz. Nawet rzadka trawa, wydawało się, pochylała do ziemi, przeczuwając niepokoję. Wściekły i drapieżny pustynny wiatr zniknął, a zmienił go wiatr-poganiacz, który gnał bez opamiętania grube i niezgrabne chmury na pustkowie, daleko od ich domu - oceanu. Oto niska chmura, kłębiąc się i niechętnie kierując na staruszkę, warknęła na wietrznego pasterza błyskawicą, a potem zadudniło gniewne uderzenie grzmotu. Chmura złościła się na wiatr, ale ten, uśmiechając się, popchnął ją jeszcze mocniej i znów zamigotała błyskawica. Wciąż leżąc na ziemi, zmrużył oczy, porażony oślepiającym i niespodziewanym błyskiem. A potem, niebo się rozłupało. Tak dźwięczały tysięczne ładunki, które eksplodowały na planecie dwieście lat temu, pochłaniając ludzkość. W taki sposób, dawni i zapomniani bogowie, w gniewie rozłupywali niebo siekierami. Soczyste, dźwięczne uderzenie grzmotu, od którego starcowi na moment zatkało uszy. Grzmot przetoczył się tuż nad leżącym człowiekiem. Przerazenie ścisnęło jego serce, przywołując wspomnienia minionych lat zemsty. Przerazenie czynami, których dokonał, świadomością kończącego się życia i niemożliwością cofnięcia czegokolwiek. Zemsta dokonała się w ten odległy dzień, który na zawsze wrył się w jego pamięć, jak nóż

snycerza wrzynający się w drewno, zostawiając po sobie głęboki rysunek. Wtedy, niebo dudniło jeszcze mocniej, żądając pomsty od Boga. Kolejny raz...

\*\*\*

...błysnęło i Vincent Sarteli odskoczył od okna, przez które obserwował burzę.

- Niesamowite! Do wszystkich diabłów! - przeklął, widząc, jak ludzie na ulicach New Hope przysiadają ze strachu przed piorunami. – Nie wierzę! Czyżby w progi naszego grzesznego miasteczka znowu miał zawitać deszcz? O Matko Przenajświętsza!

Na ulicy zagrzmiało, zabrzęczały szyby i Sarteli się przygarbił.

- Tfu, Niech to diabli! Przecież, to tylko grzmot – przyszło mu na myśl, że jakiś półgłówek postanowił zabawić się dynamitem. – Ale się żywiol rozszalał!

Usiadł w głębokim fotelu obciążonym czarną skórą i zapalił cygaro. Z błogą miną odchylił się do tyłu i wypuścił kilka szaroniebieskich kótek dymu. Od piętnastu lat stoi na czele klanu Sartelich, a mimo to, nie przyzwyczał się do roli bossa. Może nie zupełnie tak. Był bossem, głową rodziny i New Hope. Rządził swoimi psami mocną i bezlitosną ręką, ale mimo wszystko, w takich chwilach, kiedy był sam, nie mógł w to uwierzyć. Piętnaście lat temu, po niby przypadkowej śmierci ojca - byłego mistera Sartelego, poszczęściło mu się i ruletka szczęścia wskazała na niego. Został wodzem klanu, chociaż z tego powodu, starsi bracia przenieśli się na cmentarz. Najmłodszy z Sartelich stał się jednym z najwyższych, znaczących i najbardziej niebezpiecznych ludzi w tej części Kalifornii. Pod obcasem Vincenta znajdowała się znaczna część biznesu, o jakim przywoici obywatele mówią tylko szeptem. Młodszemu synowi, rozpoczynającemu karierę od rozboju na wielkiej drodze i ściągania haraczu, udało się. Dzięki okrucieństwu i chytryści Vincenta i jego pomocników, pozostałe klany New Hope zostały zniszczone albo całkowicie wykrwawione i już nie mogły się przeciwstawić. A jeśli, niedobitki innych rodzin próbowały nagle podnosić głowę i pokazywać zęby w JEGO mieście, to wzywał Płaczka i wszelkie przykrości okazywały się zakopane gdzieś daleko na pustkowiach. A w mieście, przez kilka dni, wszyscy starali się mówić tylko szeptem, by nie rozgniewać potężnego władcy rodu.

Znów błysk i trzask grzmotu. Szyby pokryły się pierwszymi kroplami deszczu, który zabębnił po dachach domów i neonowej reklamie jedyne kasyna w stanie. Dawno nie było takiego mocnego deszczu!

Rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - odezwał się Vincent i zgasił cygaro na blacie wyczyszczonego na glanc stołu. Mógł sobie na to pozwolić.

W drzwiach stanął siwiejący, szczupły mężczyzna, lat około czterdziestu pięciu. Chociaż przybysz nie wyglądał młodo i niebezpiecznie, jednak żaden człowiek, nawet jeśli nawącha się prochów, nie zdecyduje się na współpracę z Płaczkiem.

- A-a-a! Dale, mój chłopiec! - radośnie przywitał go mister Sarteli, chociaż był od Płaczka młodszy o kilka lat. - Wejdz, wejdz. Rozgość się.

Dale bez słowa usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i popatrzył w okno. Deszcz lał, od czasu do czasu przeplatając się błyskawicami i dudnieniem grzmotu.

- Deszcz - podążając za spojrzeniem Dala, powiedział mister Sarteli. – Co o nim sądzisz?

- Niezły, bossie. W mojej ojczyźnie, jest rzadkością.

Wstał i wziął cygaro z pudełka na stole. Drogie, pochodzące jeszcze z przedwojennych zapasów. Vincent Sarteli nikomu nie pozwalał na poufałości, ale Dali-Płaczek mógł robić to, o czym inni nie mogliby nawet pomyśleć.

- Zapomniałem, że pochodzisz z południowego wschodu? Tam, z deszczami krucho... Zresztą, co ja ci opowiadam, mama-mija! Sam najlepiej wiesz. A na marginesie, już od pięciu lat jesteś przy mnie.

Nikt nie wiedział skąd pochodził Płaczek. Przyszedł z południowego wschodu. Tak się złożyło, że na Vincenta Sartelego przygotowano zamach. Niedobitek z innej rodziny próbował go zastrzelić, ale znajdujący się w pobliżu Dale uratował Vincenta. On, a nie jego ludzie. Pechowy zamachowiec udał się do domu praocjów, a Dale przyłączył się do rodziny Sartelich. Początkowo, był tylko jednym z ochroniarzy, zatem najniebezpieczniejszym człowiekiem po Vincencie. Stał się tym, który wybawiał bossa z przykrości. Wtedy to otrzymał swoje przezwisko - Płaczek.

- Wiem o tym, bossie - przytaknął Dale.

- Mam dla ciebie zadanie. Knajtowie znów postanowili wrócić do New Hope. Miasto za małe, będzie nam ciasno. Zresztą, rozumiesz. Zrób wszystko, co uważasz za stosowne, by Knajtowie wybili to sobie z głowy.

- Rozumiem – kiwnął głową i jakby od niechcienia zapytał. – Bossie, a skąd wiesz, że u nas, na południowym wschodzie, deszcze są rzadkością?

- A-a-a - przeciągnął Vincent i uśmiechnął się, wracając do wspomnień. - Była pewna sprawa. Dawno. Z piętnaście lat temu. Jeszcze nie byłem mister Sarteli. Zajmowałem się wymuszaniem haraczy, ściągając pieniądze z okolicznych miasteczek i wsi. Pewnego razu ja i jeszcze trzydziestu chłopaków, znaleźliśmy się daleko na południowym wschodzie. Aż za Złamanym Urwiskiem. Trafiliśmy na jedną, wyjątkowo upartą wioseczkę. Nawet jej nazwy nie pamiętam. Przyszliśmy raz, drugi. Starszyzna nie do ruszenia. Mówią, nie zapłacimy. Przed kim chcecie nas tu chronić? W zaparte idą, mama-mija! Jeden z mieszkańców, młody, głupi, nie wytrzymał. Mojego chłopaka klepnął. No i ruszyła zabawa jak się patrzy.

Słowa Vincenta potwierdziło kolejne dudnienie gromu.

- Wszystkich tam położyliśmy, Dalu. Całą wieś. Ani jeden nie uszedł. A potem, trafiliśmy pod taki właśnie deszcz! To były złote czasy! Nie to, co teraz. No i wystarczy! - Vincent potrząsnął głową. – Przeszłość. Porozmawiamy jeszcze o niej przy kieliszku przedwojennej whisky, a tymczasem, bardziej mnie niepokoją chłopcy Knajtów. Możesz odejść.

Odwrócił się do okna i zaczął obserwować ulewę.

Giętka struna oplotła szyję Vincenta Sartelego i głęboko się werżnęła w skórę. Instynktownie próbował chwycić strunę rękoma, ale na próżno.

- Nie szarp się - powiedział Dale i nieznacznie osłabił zacisk. - Siedź cicho.

- Dale? - zachrypiął mister Sarteli. - Postradałeś rozum? Na co ty sobie pozwalasz?

- Myliłeś się Vincent. Nie cała wieś, nie wszyscy. Zostało nas dwóch i poszliśmy twoim śladem. John umarł po roku, a ja tropiłem dalej. Piętnaście lat, Vincent! Potrzebowałem piętnastu długich lat, by znaleźć ciebie! Zabijałem, stałem się podobny do ciebie! Niszczyłem Myśliwych i bandytów, mając nadzieję, że ten, który pada z kulą w głowie jest tym, który zabił moją żonę. Obszedłem wszystkie pustkowia i miasta w poszukiwaniu tych, którzy zniszczyli moją wieś. Pięć lat temu los się do mnie uśmiechnął, w barze natknąłem się na Brudasa. Czy pamiętasz Brudasa? Był wtedy z tobą, piętnaście lat temu. Chłopak zawsze był zbyt gadliwy, opowiedział, że był w

mojej wiosce, ale pośpieszyłem się i zabiłem wcześniej, niż zdradził, kto był przewodnikiem w bandzie. Wiedziałem, że pracował dla klanu Sartelich i udało mi się dołączyć do was. Pięć lat czekałem na ten dzień, na to wyznanie. Patrzyłem, obserwowałem, czekałem. Dawno podejrzewałem cię Vincent, ale podejrzenia to nie wszystko, potrzebne były dowody i to nie uzyskane pod lufą pistoletu, tylko w wyniku dobrowolnych zwierzeń!

- Nie zrobisz tego, Płaczek - wyszeptał Vincent. - Za drzwiami są moi ludzie...

- No i co z tego? - przerwał mu Dale. Zrobię to, po co żyłem ostatnie piętnaście lat. A dalej, wszystko mi jedno. Chociaż, może daruję ci życie, jeśli powiesz, gdzie jest bransoleta Kelly.

- Jaka bransoleta? - ze strachu, gardło Vincenta wyszło jak pustynia.

- Była na ręce mojej żony. Cudowna, złota bransoleta w kształcie wężyka. Oddaj ją.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wobec tego, zdechnij - powiedział Dale i z siłą zaciągnął pętlę na szyi Sartelego.

Rzęzenie umierającego zagłuszył niepokorny grzmot.

- No i co, mister Dale? Idziemy bić Knajtów? - zapytał, odklejając się od ściany jeden z bojowników Sartelego.

- Na razie, odpocznij z chłopakami, Giuseppe - Dale szczelnie zamknął drzwi gabinetu. - Boss powinien przemyśleć sprawę.

- A ty, dokąd idziesz?

- Przespacerować się.

- Przecież pada! Zmokniesz.

- Lubię deszcz. Oczyszcza.

Pierwsza...

\*\*\*

...ciężka kropla, nie utrzymawszy się w brzuchu chmury, oderwała się od czarnego nieba i spadła na dół. Rozbiła się o kolejową szynę, jak rozbijają się drogie, kryształowe puchary, na tysiąc drobnych i lśniących szkiełek. Mikrokropelki trafiły na twarz starca. Za pierwszą kroplą upadła druga. Za drugą, trzecia. Ogromne grudki niebiańskiej wody bębniły po wyschniętej i spragnionej deszczu ziemi. I po chwili, rzadkie krople zmieniły się w ryczący wodospad, zwymiotowany przez niebiosy. Wodospad, niosący życie dla całego świata. Człowiek wciąż leżał na ziemi, podstawiając twarz pod sprężyste, parzące strumienie deszczu. Leżał bez ruchu, a w rzeczywistości, wesóło i nie otwierając ust, bezdźwięcznie się śmiał. Śmiał się i wdychał świeży zapach deszczu. Śmiał się i czekał, aż...

\*\*\*

...giętki, siedmiobarwny most tęczy rozłożył się między pagórkami i rozciął niebo na dwie połówki. Gdzieś tam, na horyzoncie, cicho i sennie mruknęła wyszalała burza. Godzinę temu harcowała tu, zostawiając po sobie tęczę i mokrą ziemię z wielkimi kałużami, odbijającymi czyste niebo. Człowiek, idący po ledwie widocznej, rozmięklej drodze, przeskoczył przez wielką kałużę, omal się nie pośliznął na błocie, ale, rozłożywszy ręce, utrzymał równowagę. Przeklął, obejrzawszy pobrudzone rudym błotem saperskie buty. W końcu machnął ręką, zebrał rozsypujące się siwe włosy w ogon i mocno ściągnął je tasiemką. Przy swoich ponad sześćdziesięciu latach,

podróżnik zachował jeszcze niezwykłą ruchliwość i gibkość, właściwszą młodemu człowiekowi. A ciężki plecak i karabin wcale nie krępowały ruchów i nie sprawiały kłopotu w marszu.

Wdychał zapach świeżej, nasiąkniętej ziemi. Świejące znów słońce przypiekało i przemoczona odzież, schła w zawrotnym tempie.

Gdy skręcił za kolejny pagórek, zobaczył leżącego na poboczu drogi człowieka. Zatrzymał się, nawykowo strzepnął ramieniem, zrzucił karabin, odbezpieczył i ostrożnie poszedł, czujnie rozglądając się na boki, podejrzewając zasadzkę. Ale było cicho, nikt nie próbował wyskoczyć zza kamieni. Człowiek poruszył się i, uniósłszy się na łokciu, popatrzył na zbliżającego się starca, z karabinem w pogotowiu.

- Nie jestem niebezpieczny - powiedział, starając się pokazać puste ręce. - Strzelbę zgubiłem, kiedy spadałem z tego przekłętego pagórka.

Przybysz podążył za spojrzeniem leżącego. Rzeczywiście. Wysoki pagórek, a nawet niewielka góra z urwistym zboczem.

- Jak to się stało? - zapytał, nie opuszczając karabinu.

- Deszcz. Człowiek był blady, młodszy od podróżnika, mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt lat, zwalisty, z gęstą, czarną brodą i ubrany po farmersku. - Chciałem zejść, pośliznąłem się i złamałem nogę. Teraz leżę i czekam, aż mnie coś zeżre.

- Otwarte złamanie? - zarzucił karabin na ramię i pochylił się nad leżącym.

- Nie, inaczej bym stracił dużo krwi. Mam na imię Iw.

- Dale - burknął staruszek, dokładnie obmacując złamaną nogę.

- Aj! - wrzasnął Iw i zbladł jeszcze bardziej. Na czole wystąpiły kropelki potu.

- Nie szarp się. Skąd by tu wziąć łubki?

- Tam stoi uschnięte drzewo, może się przyda? - wysyczał Iw i znów opadł na wznak.

- Zaraz wrócę.

Zdjął plecak i karabin, i zaczął się wspinać na pagórek, z którego tak niefortunnie stoczył się ranny. Na samym szczycie rosło cieniutkie, wyschnięte drzewko. Złamał je i zaczął schodzić na dół. Po drodze, znalazł wiekową strzelbę Iwa.

- Teraz zaboli, możesz mówić, jeśli chcesz – powiedział rzeczowo, rozłupując pień drzewka na dwie równe połówki.

- O czym mam mówić? - nie zrozumiał Iw, uważnie obserwując jego działania.

- O czym chcesz. Opowiedz o sobie - Dale przymierzył pałki do nogi Iwa.

- O czym tu opowiadać? Mam niedużą farmę w wiosce Dolina Słońca, to pięć mil stąd. Właśnie wracałem do domu, kiedy zdarzył się ten wypadek - zaczął opowiadanie, przyglądając się, jak Dale odpina pas od jego strzelby.

- Mów, mów - burknął Dale.

- Żyję tam od dwudziestu lat, mam nieduże dochody, ale można wyżyć. Najważniejsze, że jest cicho i spokojnie. Bandyci, ani inni dranie nie niepokoją nas na pustkowiu. U-f-f--f-f! - zasyczał, kiedy Dale zaczął przymocowywać pasem od strzelby, pałki do jego nogi.

- Mów, nie przestawaj.

- Mam żonę, dwójkę dzieciaków. Długo włóczyłem się po świecie, zanim się ustabilizowałem i osiadłem na jednym miejscu. Czas było pomyśleć o przyszłości. Kocham rodzinę, lubię swoje życie, dużo uczyniłem złego, ale to przeszłość. I jestem zadowolony z tego, że jestem tylko zwykłym farmerem, chociaż czasami ledwie mogę związać koniec z końcem.



- Teraz będzie trochę bolało - powiedział Dale i Iw stracił świadomość.

Ocknął się, bo go niesiono. Otworzył oczy i zobaczył majaczącą w polu widzenia czerwoną drogę. Dale niósł go na plecach.

- Nie mógłbyś mnie opuścić? – poprosił po króciutkim namyśle.

- Sam się o to prosisz - sapnął Dale i puścił go. Iw ześliznął się z jego pleców i krzyknął, lewą nogę przeszył ból. Pociemniało mu w oczach. Kiedy wzrok odzyskał ostrość, zobaczył, że Dale wyciąga małą, metalową flaszkę. Iw łyknął i się rozkaszał.

- Czysty spirytus - poinformował bezbarwnie Dale, odbierając flaszkę. – Ale jesteś ciężki!

- A gdzie, a gdzie? - połykając łyżę, które popłynęły z powodu mocnego spirytusu, zapytał Iw. - A gdzie twój plecak i karabin?

- Tam, gdzie i twoje rzeczy - chrząknął Dale i też łyknął z flaszki. - Zostały tam, gdzie tak bezmyślnie złamałeś nogę.

- Ale, co teraz będzie z tobą? - zaczął zaskoczony Iw.

- Słuchaj, nie jątrź duszy! - wybuchnął staruszek. - Strzelby, plecak i jeszcze ty na dokładkę. Na pewno nie udźwignąłbym tego. Wiek, jak widzisz, już nie ten. Trzeba było wybierać.

- Długo tak podróżuję?

- Na moim grzbiecie? Parę mil, nie więcej.

- Parę mil? Ciągnąłeś mnie dwie mile?

- I jak widzisz, zupełnie się zadyszałem.

- Nie trzeba było tego robić - ze skruczą powiedział Iw. Czuł się bezradny, niczym małe dziecko.

- A jak byś przekuśtykał te wszystkie mile? Skacząc na jednej nodze i opierając się na moim ramieniu? W ten sposób nie doszlibyśmy przez tydzień.

Iw zamilkł, rozumiejąc, że poszczęściło mu się, bo jego droga skrzyżowała się z tym ponurym człowiekiem.

- Wkrótce dowleczymy się do twojej wioski - wskazał w stronę dalekiego pagórka, za którym znajdowała się Dolina Słońca.

- Widzę - Iw kiwnął głową. - To pole, wcześniej było wojskowym lotniskiem.

- Wiem.

- Byłeś tu?

- Bardzo dawno. W minionym życiu - bezbarwnie powiedział Dale. - No co? Ruszamy?

- Jeśli odpocząłeś.

- No, to włącz na barana, bo mam dzisiaj ochotę nocować w pościeli. Jeśli mi to zapewnisz?

- Oczywiście! Dziękuję Dale.

- Nie ma za co.

Serce Dala przeszywał ból. Siedział na ganku domu Iwa, patrząc na rozeslaną koldrę gwiazdowego nieba. Była głęboka noc i rodzina Iwa już od dawna spała, ale on, nie mógł zasnąć. Od trzydziestu lat nie był tu, w swojej rodzinnej wiosce, która nosiła teraz nazwę - Dolina Słońca. Oczywiście, przez trzydzieści lat wszystko tu się zmieniło, stare domy rozebrano. Spalony niegdyś kościół odbudowali nowi ludzie, pragnący zadomowić się tu. Teraz, nowiutki, bieluteńki, dumnie wznosił się w centrum rozrastającego się

osiedla. Dostrzeżono ich jeszcze na milę przed celem i ludzie pośpieszyli uwolnić Dala od ciężkiego bagażu. Lekarz – to dziwne, że we wsi był lekarz - na nowo zabezpieczył złamaną nogę.

Ale to wszystko, było dla Dala obojętne, duszą był w zupełnie innym czasie, kiedy na miejscu Doliny Słońca stała wioska bez nazwy.

- Nie możesz zasnąć? - Iw, stukając kulą, podszedł do Dala.

- Tak... myśli nie pozwalają.

- Tak bywa – przyznał Iw. - Piękna noc, prawda?

- Yhy.

Iw usiadł obok, wyciągnawszy zagipsowaną nogę.

- Jakie masz plany Dalu? – zapytał po krótkim milczeniu, starając się dostrzec spojrzenie błękitnych oczu starca.

- Iść dalej - wzruszył ramionami.

- Nie chcesz zostać we wsi? Nie jesteś już młody i chyba już czas godne spotkać starość.

- Nie boję się starości. Ale za propozycję dziękuję. Z całego serca dziękuję, Iw.

- Kiedy ruszysz? - westchnął Iw.

- Teraz.

- Teraz?! Nocą?!

- Wrócę pod pagórek, trzeba zabrać plecak i karabin. Nie powinny kurzyć się na drodze.

- A co dalej?

- Patrzył na mrugające gwiazdy. - Może do Frisko, może jeszcze dalej. Myślę, że tam, gdzie droga zaprowadzi.

- Weź, proszę - Iw wyciągnął ciężki, czarny pistolet. – Przed tobą, jeszcze nocą pięć mil drogi. Broń się przyda. Bierz, bez skrupułów. Mam tego dobra sporo. Przeżyję.

- Dziękuję - Dale zważył w ręce ciężki pistolet. - No, to pójdę.

- Poczekaj – Iw, nagle mocno chwycił Dala za rękę. – Uratowałeś mi życie. Nie, nic nie mów! Dobrze wiesz, że tak. Wcześniej czy później coś by mnie zeżarło albo umarłbym z bólu. Jestem ci zobowiązany. Weź, to najdroższa rzecz dla mnie. O niej, dotychczas, nikt nie wiedział.

W wyciągniętej ręce coś błysnęło.

- Skąd to masz? - drżącymi wargami zapytał Dale, kręcąc w rękach bransoletkę misternej roboty. Cienki, złoty łańcuszek w kształcie wężyka kłusującego swój ogon. Wężyka ze szmaragdowymi oczyma.

- To moja hańba, Dalu. To kara, która prześladowuje mnie każdej nocy. Ta bransoletka stale przypomina mi o strasznym błędzie młodości. Około trzydzieści lat temu, ja, młody chłopczyzna, dostałem się w złe towarzystwo. Związałem się z pewną bandą, uważając to za szczyt honoru. Myślałem, że jak mam w dłoni broń, to cały świat padnie przede mną na kolana. Na pewno znasz to uczucie?

Dale milczał, ściskając w jednej ręce bransoletkę, a w drugiej pistolet Iwa.

- Moja droga skrzyżowała się z pewną kompanią. Ich wodzem był chłopak, Vincent. Synek jakiegoś mafiozo z New Hope. Jest takie miasto, daleko na północnym zachodzie. Był to niebezpieczny chłopak. No i trafiłem do jego szajki wiedziony głupotą młodości. Pewnego razu ruszali do jakiejś wioski, trzepać miejscowych. Vincent, wziął mnie dla żartu. Powiedział, że jeśli zdam egzamin, wejdę do rodziny. A ja, dumny, ucieszyłem się. Przyszliśmy, no sam wiesz. Zaczęła się palba. Nie strzelałem, bo się

przestraszyłem nie na żarty, a potem nacisnąłem na spust. Nacisnąłem, w nikogo nie celując. I trafiłem. Kobietę. Wbrew własnej woli.

Dale milczał.

- Do dziś pamiętam jej twarz i jej słomiane włosy, Dalu. Pamiętam. Umarła od razu. A ja, głupie szczenię, podszedłem i zdjąłem z jej ręki tę bransoletkę. Pamiętam, zaczął padać deszcz, a ja szczyłem się trofeum - z goryczą powiedział Iw i zamilkł na chwilę. – Świadomość tego, co zrobiłem, przyszła następnego dnia. Przecież po raz pierwszy zabiłem człowieka. Zabiłem niewinną kobietę. Poczułem się źle i jest mi źle do dnia dzisiejszego, przyjacielu. Odszedłem z bandy Vincenta, z dziesięć lat włóczyłem się po całej Kalifornii, nosząc tę bransoletkę, by przypominała o tym strasznym czynie, którego dokonałem. Dlaczego milczysz? Osądzasz?

- Słucham.

- Słuchaj. Nikomu nie opowiadałem o tym i, prawdopodobnie, więcej nie opowiem. Wiesz, że mordercę ciągnie na miejsce przestępstwa? Wróciłem do tamtej wioski. Do tej wioski, Dalu. Inni ludzie, inne domy. Nic nie przypominało minionej tragedii. Zostałem, bo coś mnie tu trzymało. Prawdopodobnie, los - gorzko stwierdził Iw. - Całe życie zostało złamane. Złamane, przez przypadkowy czyn, który męczy mnie przez wszystkie te lata. Ożeniłem się. Pojawiły się dzieci, córeczkę nazwałem na cześć tej nieznanym - Słomką. Próbowałem odpokutować swój grzech. Dureń.

- Nie udało się?

- Nie. Nocami, wszystko jedno, nawiedzają sny. Wychodziłem tu, na ten ganek i błagałem Boga, aby mnie ukarał albo przebaczył. A dzisiaj, łamiąc nogę, zrozumiałem, że to zapłata. Zapłata za przeszłość. Sprawiedliwa. A potem pojawiłeś się ty, Dalu. I zrozumiałem, że Pan Bóg mi wybaczył, posyłając cię, by uratować moje nic niewarte życie; szansę na przebaczenie mają wszyscy, nawet mordercy. I wiesz co, po raz pierwszy, za wszystkie te lata, uspokoilem się. Proszę, weź tę bransoletkę Dalu. Uwierzę, że nic cenniejszego nie mam na tym świecie.

- To ogromny prezent - Dale włożył bransoletkę na rękę i mocno ścisnął w rękę pistolet. – Jak myślisz Iwie, będzie deszcz?

- Deszcz? Chyba nie. U nas, dwa razy dziennie deszcze nie padają.

- Szkoda. Lubię deszcz, jest moim towarzyszem podróży. Przeszedłem z nim przez całe życie. Muszę odejść bez niego.

Jeszcze chwilę posiedzieli na ganku domu Iwa, wsłuchując się w dźwięki letniej nocy.

- Na mnie czas - powiedział Dale wstając i po chwili wahania, wsunął pistolet za pas.

- Droga czeka.

- Nie osądzasz mnie za morderstwo Dalu? - cicho zapytał Iw.

- Ja sam dużo zabijałem Iwie. Bóg jest twoim sędzią. Żegnaj.

- Żegnaj i dziękuję.

Dale kiwnął ręką i, nie odwracając się, poszedł w noc. Na horyzoncie, różową nitką budził się...

\*\*\*

...poranek. Odmienił wiecznie smutne i martwe pustkowia tych miejsc. Poranek i deszcz. Przez noc pustkowia zamieniło się w kwitnący ogród. Ogród, który zginie za kilka dni i znów odrodzi się z kolejnym deszczem. W oczach migotało od mieniących się

kolorów. Granatowe, zielone, żółte, fioletowe, liliowe i czerwone kwiaty, zwartym dywanem pokryły ziemię. Wiatr kołysał kołdrę olśniewająco czerwonych maków, zasłaniających swoimi ciałami kolejowe szyny. Różnokolorowe motyle fruwały od kwiatu do kwiatu, kręcąc się w małżeńskim korowodzie, starając się przeżyć jak najwięcej, póki otaczający je cud znów nie przekształci się w pustkowie. Zajęte pracą, brzęczały nie wiadomo skąd biorące się pszczoły. W stojących po deszczu kałużach, nadmuchując balony, rozśpiewały się rodziny obudzonych żab. Wtórowały im pustynne szczury, napełniając okolice radosnym, przenikliwym piskiem. W niebie, mignął mały, pstry ptaszek i wesoły trel, trel życia, różnokolorowymi pasażami upadł na ożywającą ziemię, mówiąc, że w wirze przyrody i czasu, nic się nie kończy. Życie, wbrew wszystkim prawom odrodzi się, odrodzi się choćby na kilka krótkich dni. Pustkowie żyło swoją czarodziejską i wspaniałą bajką, podarowaną przez deszcz.

Ale starzec już tego nie widział. Umarł, gdy spadły pierwsze krople.

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*

*Korekta: Maria Palichleb*